

# Władysław Terlecki

---

## Brulion

---

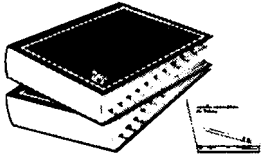
Palestra 42/11-12(491-492), 114-115

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



# Władysława TERLECKIEGO BRULION

Cóż to takiego sito pamięci? Co powoduje, że jedno się zapomina, a drugie pamięta latami i to tak dokładnie, jakby to, co pamięć utrwaliła, zdarzyło się bardzo niedawno?

To, o czym chcę pisać, działo się przed z górą pięćdziesięciu laty, tuż po wojnie, kiedy rodziła się nowa – w odróżnieniu od okupacyjnej – rzeczywistość.

W Częstochowie, naprzeciw kina „Wolność” (tak wówczas nazwanego) mieściła się sala, gdzie podczas niedawnej okupacji ulokowano kino dla Niemców. Nie wiem, co pewnego wiosennego dnia – z pewnością musiał to być przypadek – zdecydowało, że znalazłem się w tamtej szczelnie wypełnionej, nie kinową tym razem publicznością, sali. Odbywał się tam jeden z pierwszych w tym mieście proces zbrodniarza wojennego. Sądzonego złapanego w Niemczech gestapowca. Sąd, jak pamiętam, urzędował na wysokim podium tuż pod kinowym ekranem. Tam też zajął miejsce prokurator ubrany w tożę z czerwonymi obwódkami. Naprzeciw znalazło się miejsce dla oskarżonego i jego obrońcy. Były gestapowiec okazał się mężczyzną w sile wieku, o imponującej posturze. Zachowywał kamienny spokój. Odpowiadał w języku niemieckim. Cała rozprawa tłumaczona więc musiała być na oba języki. Z długiej listy zarzutów zapamiętałem niewiele, ale tak jak w wielu podobnych procesach, zarzuty te musiały być bardzo poważne. Zostały skrupulatnie wyliczone w przemówieniu proku-

ratora. Sala słuchała jego wystąpienia w najwyższym napięciu. Dało się czasem słyszeć pomruki aprobaty, wtedy zwłaszcza, kiedy oskarżyciel przeszedł do określenia wymiaru kary. Łatwo się domyśleć, jaka mogła to być kara: kara śmierci.

Nie przypominam sobie, ilu wówczas przed sądem zeznawało świadków. Pamiętam jednego, którego powołał obrońca. Był nim ojciec sądownego gestapowca. Zeznawał po polsku z twardym śląskim akcentem. Pochodził z Opolszczyzny i mówił coś o swoim polskim rodowodzie. Tego bardzo dramatycznego szczegółu pamięć nie utrwaliła. Dziś, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że był to z pewnością jeden z ważniejszych akcentów procesu.

Kiedy ze swojego miejsca podniósł się potem adwokat, publiczność zareagowała gniewnie już po pierwszych wypowiedzianych przez niego słowach. Pamiętam, że był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z rudą bródką (a więc pamięć notuje nawet takie szczegóły) i że z całej jego postaci emanowała jakaś powaga i siła woli. Zwracał się do sądu, ale przecież mówił również do wrogiej wobec siebie publiczności. Musiał z pewnością wiedzieć, że stoi sam wobec gromady ludzi, którzy w tej sprawie wyrok już wydali. Łatwo skazywano wówczas na karę śmierci tych, których, być może, za kilka lat kara taka by ominęła. Nie wiem, czy podobny los mógłby spotkać i tamtego oskarżonego.

Raczej w to wątpię. Jego winy były bowiem zbyt oczywiste. Ktoś, kto z urzędu podjął się jego obrony, brał na siebie ogromny ciężar. Łatwo można sobie wyobrazić, iż w podobnych okolicznościach obrona mogłaby się, ku ogólnemu zadowoleniu, ograniczyć do formalnego jedynie obowiązku.

Tymczasem adwokat, który bronił w tamtej kinowej sali swego klienta, wykazywał niezmierną odwagę. Mówił długo. Podważał argumenty oskarżenia, które, jego zdaniem, nie zostały dostatecznie udowodnione. Dyskutował rzeczowo z zeznaniami świadków, którym odmawiał niekiedy pełnej wiarygodności. Mówił też o przeszłości oskarżonego, o jego podporządkowanej totalitarnej dyscyplinie edukacji i o zbrodniczych rygorach, którym został poddany w czasie swojej przestępczej służby. Ale to, co było w tym wystąpieniu bodaj najważniejsze, dotyczyło problemu zemsty. Przestrzegał więc sąd – a pewnie bardziej jeszcze słuchających go ludzi – że sprawiedliwość nigdy nie może być narzędziem zemsty. Nawet w takich historycznych okolicznościach jak tamta chwila, dzieląca okupacyjną rzeczywistość od odzyskanej dopiero co wolności.

Takie było pierwsze moje spotkanie z obrońcą sądowym. Przedstawił mi wtedy inną miarę sprawiedliwości niż ta, którą wbijano wówczas do głowy, i która polegała na zasadzie, że sprawiedliwość to proste działanie: „oko za oko, ząb za ząb”. Nie obawiał się mówić do wrogo reagującej publiczności, że zemsta nie może być żadną miarą kary. Niezależnie od okoliczności historycznych i nawyków, do których zdołano nas przyzwyczaić.

I wreszcie coś jeszcze, co kazało go obserwować ze szczególną uwagą. Musiał mieć przez cały czas świadomość, że znalazł się na pozycji przegranej i że cały jego wysiłek okaże się w końcu beznadziejny.

Właśnie zastanawiam się po latach, czy rzeczywiście beznadziejny? Kto wie, czy w tamtej szczelnie wypełnionej kinowej sali nie znalazło się jeszcze kilku innych słuchaczy, którzy mu uwierzyli? Jeśli tak, można myśleć o spełnionym obowiązku i o czystym sumieniu. Choć nie pamiętam, czy w swoim przemówieniu użył tego określenia. Nie mam wątpliwości, że wychodząc z sali po ogłoszeniu wyroku mógł z pewnością mieć czyste sumienie.